

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

7. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

— Jak się nazywa ów pan, który tu około północy, z wtorku na środę, przybył z kobietą zakrytą welonem i zawiniątkiem? — zapytał Aleksandrowicz portyera.

— Zapisał się w książce meldunkowej: Giovanni Brorvi — odpowiedział portyer.

— A owa kobieta?

— Niby żona — tak podano w książce — ja nie wiem.

— Kiedy opuścili hotel?

— Kiedy? nie pamiętam; aha! tak, tak, zaraz, już wiem, rano odeszli. Tyle gości, to trudno pamiętać.

— Odeszli? a kto za nimi ponosił pakunki?

— Nikt; sami je ponieśli.

— To nie możliwe. Bogaty, elegancki człowiek nie zwykł sam nosić wielkich zawiniątek.

— A to nie uważam. Może kto za nimi zaniósł; nie pamiętam. Tyle osób się kręci, jakże pamiętać.

— Jak ten pan wyglądał?

— Jak? Nie wiem. Noc była, trudno od razu zapamiętać. Przecież nie mogłem mu się przypatrywać, jak złodziejowi.

— No, no, nie tędy droga mój portyerze. Na żarty nie pytam, żartować tu nie przyszedłem.

— A no, cóż mam powiedzieć? Piękny pan, okazały.

— I nie więcej?

— A nic. Dalibóg nie wiem, nie pamiętam.

— Nie szkodzi. Zostawiam dość czasu do przypomnienia sobie wszystkiego.

Portyer odszedł, Aleksandrowicz wstał i na odchodnym rzekł do właściciela hotelu:

— Prawdopodobnie będę pana jeszcze niepokoił tą sprawą, ale bardzo proszę, abyś pan do brze sobie wszystko przypomniał i portyerowi polecił lepszą mieć pamięć.

Aleksandrowicz nie wątpił już, że sprawcy morderstwa tu byli, a nasuwało mu się też podejrzenie dość jaskrawe, iż właściciel hotelu i portyer wiedzą, jakich mieli gości. Postanowił użyć tu do czuwania i dochodzenia sprawy, nieznanego nikomu agenta, najlepiej może Piotra, który wiele sprytu i zręczności okazywał. Wracając ku domowi przez via Lorenzo, zwykle bardzo ożywioną, ruchliwą. Tłok był wielki, Aleksandrowicz musiał się zatrzymać, a w tej chwili przejechał eleganckim ekwipażem okazały, młody mężczyzna i na widok agenta drgnął, zasunął się w głąb powozu i w przeciwną stronę twarz zwrócił. Nie dostrzegł tego Aleksandrowicz i nie przeczuwał, że to przejeżdżał morderca z Salita Santa Nicola.

VIII.

Tyran i ofiara.

W kilka minut potem, zatrzymał się ów elegancki ekwipaż przed Pallaro Balboni, w którym mieszkała Elena Ludgarde. Z powozu wysiadł conti Alfonso di Montegretto i pospieszył na schody. Elena oczekiwała go, jak zwykle, w buduarze gdzie z całą swobodą przebywali.

— Miałem małą przygodę — rzekł hrabia na wstępie.

— Może ci się coś złego wydarzyło?

— Ależ nie wcale. Nazywam przygodą małe wzruszenie, które było niepotrzebnym zbytkiem... Wyobraź sobie, że jadąc tu, spotkałem słynnego agenta policyi, Aleksandrowicza, który śledzi sprawców ze Salita Santa Nicola.

— O mój Boże!

— Ależ nie lękaj się! Spojrzał on na mnie takim wzrokiem, jakim patrzy tłum na wielkiego pana i nic więcej. Ani mu przez myśl nie przeszło, kogo to widział w powozie. Ja doznałem nie miłego wzruszenia, to prawda, ale jak widzisz było zbyteczne.

— Czyż nie domyślają się jeszcze?

— E, e, niedołągi, prawdziwe niedołągi.

I roześmiał się conte Alfonso z takim piekielnym szyderstwem, że Elena drgnęła i boleśnie twarz skurczyła.

— Tak, powiadam ci Eleno, że to gapa! ha! ha! — i śmiał się conte Alfonso coraz głośniejsze, coraz weselej.

— Na miłość Boską, dajże spokój. To straszne. Jak możesz śmiać się i żartować?

— Ależ bo to zabawne prawdziwe. Wiesz, że

wpadło mi na myśl posłać policyi pięćset franków jako nagrodę dla tego, kto wykryje mordercę. Co? toby była doskonała komedia.

— Żarty niewłaściwe, mój drogi.

— Żarty, żarty! Przecież tragicznie tej całej historii pojmować nie mogę. I cóżśmy zrobili. Ty pragnęłaś się uwolnić od męża tyrana, który życie twe zламаł, zdeptał, który cię unieszczęśliwił, a ja ci w tem pomogłem. W jaki to sposób uczyniłem, to obojętne. Mogłem go być wyzwać na pojedynek i zastrzelić, a wtedy uchodziłbym za bohatera romansu, za rycerskiego obrońcę dręczonej kobiety. Zamiast tego, zabiłem go, a to jedno i to samo; czy tak, czy owak życie stracił; to przecież dla niego obojętne. Jesteś wolną, pozbyłaś się tyrana, więc dlaczego takim gęstym kirem żałoby pokrywasz Santa Nicola? Odwróć się od wspomnień przeszłości, a myśl o tem pięknym jutrze, które nas czeka.

— Morderstwo! — wyszeptała Elena.

— Morderstwo powiadasz? Nie moja najdroższa, to nie morderstwo, to kara śmierci, na którą zasłużył ten, przez którego cierpiełaś tak wiele, przez którego życie było ci piekłem. Byliśmy sądem dla niego, sądem sprawiedliwym, a zarazem sądem wykonawczym najsprawiedliwszego wyroku. Po co te czułości? precz z nimi. Bierz rzecz rozważnie, rozumnie. Niczego sobie wyrzucać nie możesz...

— A jednak dręczy mnie straszny niepokój; a jednak zdaje mi się, że trzeba było inaczej postąpić.

— Inaczej? Może być, ale tak czy owak, on żyć nie mógł. Im prędzej usunął się, tem lepiej dla niego i dla nas.

— A jeżeli nas wyśledzą?

— E, e, bądź spokojna. Oko policyi nie ośmiela się wdziierać do pałaców i za okna karet. Nawet z wyjazdem nie ma pośpiechu. Jeżeliby dostrzegł że nam coś zagraża, wyjedziemy zaraz do Wenecji, pod pozorem wycieczki, dla przyjemności urządzonych. Z Wenecji łatwo schronić się do Austrii, czy do krajów bałkańskich. Tymczasem spokojnie patrzmy w przyszłość. A wiesz, co mnie też bawi. Oto dzienniki. Doskonałe! Czego też nie piszą reporterzy. Każdy wie co innego, każdy podaje rady policyi, czyni wskazówki przeróżne. Są tacy, co zapewniają, że widzieli mordercę, że ukrywa się nad brzegami morza. A zatem spijmy jeszcze spokojnie, dopóki Aleksandrowicz z uszanowaniem spogląda na panów w ekwipażach, dopóki dzienniki badamucą siebie i czytelników.

Elena zaczęła się uspokajać. Tak; ten, co tam padł ofiarą w Salita Santa Nicola, to tyran, to demon jej życia — myślała teraz według słów Alfonsa — należała mu się kara, a jej wyzwolenie. Myśli jej cofnęły się wstecz, w niedaleką przeszłość i obrazy przeszłości zaczęły się przed oczyma przesuwają.

Przypominała sobie, jak syta tryumfów wszelkich, bogata, pragnęła znaleźć męża i porzucić scenę. Pragnęła męża, któryby jej przeszłość, zakrył swoim nazwiskiem, a przyszłość dał spokojną. Pragnęła męża, któryby jej otworzył wrota do wyższego świata towarzyskiego, jak tylu innym aktorom i baletnikom powiodło się nieraz.

I zdarzyło się dla niej szczęśliwie, że właśnie wśród tych marzeń poznała barona Pettko. Był to bogaty pan z Moraw, człek nie młody wprawdzie, ale postawny elegancki, układny. Zakochał się w Elenie i już po trzech tygodniach znajomości oświadczył się o jej rękę.

Elena zażądała ośmiu dni zwłoki do namysłu. Nie namyślać się chciała, ale dowiedzieć, czy baron naprawdę taki bogaty jak mówi. Dowiedziała się, że ma dobrą ogromną, pozycję towarzyską, bardzo poważną, wybitną. To jej wystarczyło, zgodziła się na małżeństwo i wkrótce została baronową Pettko.

Była pewną, że wdziękami i wypróbowaną kokieterią tak roznamiętni, tak zwojuje sześćdziesięcioletniego męża, iż będzie jej niewolnikiem, jak niewolnikami byli rozliczni wielbicieli. Roisa sobie, że będą mieszkali w stolicy, conajmniej w Wiedniu, jeżeli już nie w Paryżu, że będzie bawiła się w dystygowanym towarzystwie, a może w niem i królowała, że majątek męża będzie na jej rozkazy. Tak sobie układała, tego się spodziewała i w to wierzyła.

Rozezwolenie było straszne. Baron zawiózł żonę na wieś i do miasta wyjechać z nią nie myślał; on chciał mieć żonę dla siebie, a nie dla świata. Wprawdzie z początku bawiła ją nowość, zajmowały mury starego pałacu, urządzenia gospodarskie, biblioteka i zbrojownia; podobały się jej stare

portrety rodzinne i rodowe pamiątki; cieszyły ją nawet stajnie i stadnina, zadowalniały ją oznaki uszanowania ze strony licznych officialistów i służby; rola baronowej, rola żony zamożnego właściciela dóbr, sprawiała jej przyjemność. Ale nie długo to trwało, nie na długo starczyło tych nowych wrażeń. Wzrosła wśród gorączki życia, rozgrzana żarem nerwów, rozpalona płomieniem namiętności, potrzebowała upojenia rozczynem miejskiego chaosu. Sielanka wiejska zaczęła ją nudzić, potem męczyć, wreszcie dławić, dusić — więc nakłaniała męża, aby się przenieśli do miasta, bodaj na jakiś czas, aby jeno przerwać tę jednostajność, tę ciszę, ten spokój wsi, tak błogie, tak pożądane, tak zdrowe dla tych, co umieją stwarzać bogate światy we własnej duszy, a kochają to, co wyszło z rąk Bożych — przyrodę. Własnego świata wewnętrznego nie miała, mieć nie mogła. Wzrosła na barłogu życia miejskiego, toczyła się na jego śmietniku, aż ją los popchnął na scenę, gdzie się nauczyła kupczyć i uśmiechem i wdziękami i ciałem i duszą. Czysta wiejska była jej grobem, obowiązki gospodarce niewola, stanowisko żony ciężarem. Dławiła się tem wszystkim, co ją otaczało.

Do tego obzła się tu czuła bardzo, nieznana języka ludności, jej zwyczajów i obyczajów. Szerokie równiny morawskie wydały się jej puste, smutne; wzrok jej uciekał po za ramy tych gór lesistych, które kraj otoczyły, a sinem pasmem nasuwały się jej oczom, gdy tęsknie z okien pałacu w dal spoglądała. Roily się myśli, jej pragnienia poza one góry, na południe, na zachód, w dal ku miejskim mrowiskom.

Prosiła męża, błagała, aby wyjechali bodaj na kilka tygodni, ale baron odmawiał i wymawiał się. Zrazu uprzejmie z całą delikatnością, dobrze wychowanego człowieka; potem gdy nalegania były coraz natarczywsze, zbywał je stanowczą odmową. Zakochany do szaleństwa w Elenie, zakochany nie tyle sercem, ile dogasającą już, a na nowo podsyconą jej wdziękami namiętnością, byłby się raczej murem chińskim od świata oddzielił, aby ssąć resztą sił słodczy miłości cielesnej z tej uroczej kobiety. Więc Elena zaczęła być niezadowolona, on podejrzliwym; ona grymasną, niechętną, on zardosnym, złośliwym. Dręczyli się wzajem. Elenie zdawało się, że staje się ofiarą, jemu się zdawało że jest niewdzięczną. Wreszcie Elena zaczęła się uważać za męczennicę i uwierzyła w to, czy w mó-wiła siebie. W mężu widziała tyrana i jak tyrana zaczęła go nienawidzić.

Wszystko to oświeślała sobie teraz wspomnieniami, a oczywiście w tem oświeceniu była wciąż udręczoną ofiarą, a baron zbrodniczym tyranem. Bardzo w porę poruszył te wspomnienia conte Alfonso; wiedział dobrze czem ma panować nad umysłem Eleny. To też snuł ten sam temat oskarżeń na owego tyrana, byle stłumić w Elenie skrupuły, czy wyrzuty sumienia.

— Przypomnij sobie to wszystko, coś przecierpiała. Przypomnij sobie to, co mi sama opowiadałaś.

— Nie, nie, nie chcę sobie nie przypominać!

— Ja ci przypomnieć muszę, abyś uwierzyła, żeśmy byli tylko narzędziami kary Boskiej na tego człowieka; abyś uwierzyła, że to, co się stało na Salita Santa Nicola, jest niczem w porównaniu z tem, coś od niego ucierpiała.

— Zlituj się, nie rozdzieraj serca.

— O, nic. To nie rozdzieranie serca, ale uspakajanie — mówił conte Alfonso, z coraz większym zapałem, mającym atoli dźwięk teatralnego deklamatorstwa. — Tak, to ku twemu uspokojeniu. Przypomnij sobie, jak znudzona na wsi, bez właściwego dla siebie towarzystwa, zniechęcona do tego tyrana, który ci odmawiał wszelkiej przyjemności, postanowiłaś porzucić go i wrócić do miasta. Serce twoje, dusza twoja, życie twoje zrosły się z miastem, z kulturą i powabem stolicy, więc zabijała cię poprostu. Byłabyś to uczyniła, ale uczułaś, że będziesz matką. Dla tego dziecka, które miałaś na świat wydać, uczyniłaś z siebie ofiarę i zostaś, jakby w niewoli. Ale pieśczęty męża stawały się coraz wstrętniejsze, usuwałaś się od nich, popadałaś w smutek, szukałaś samotności, a mąż tłoczył to sobie niegodziwie. Zaczął cię ścigać podejrzeniami, uroił sobie, że mu się sprzeniewierzasz, prześladował cię zazdrością. Zdawało mu się, że na jego sekretarza więcej zwracasz uwagi, niż na niego. W zaślepieniu zazdrości uwierzył w to, że sekretarz posiadał twą miłość. A to było tylko urojeniem, tylko kłamstwem, co? prawda?

(Ciąg dalszy nastąpi.)